Władysław Łoziński

Petyhorec

# Petyhorzec



## Opowiadanie JeMCPana Wita Narwoja Rotmistrza Konnej Gwardyi Koronnej.

... Kiedy z chorągwią moją stałem we Lwowie, przyjeżdżał do mnie i do oficerów moich bardzo często niejaki Rafał Kryszpin, towarzysz petyhorski, młody człek jeszcze, z poczciwej rodziny szlacheckiej, gdzieś na Litwie osiadłej, urodziwy, grzeczny i wesołej bardzo fantazyi. Był on naufragus w tych stronach, bo rzuciły go tu na Ruś owe nieszczęśliwości i przygody publiczne, które Bóg zesłał w owych czasach na tę mizerną ojczyznę naszą. Nie wiem, czy miał więcej lat dwudziestu kilku; dziarski przyjemności był brat i towarzysz, do wszelkich żartów, figlów i bombansów szczególnie sprawny, a już to ciężka musiała być melancholia, którejby konceptami swemi nie potrafił odpędzić. [Spadł na Ruś tutejszą, jak z muszkietu wystrzelony, głodny i goły jak Tatarzyn na stepie; w jednym kolecie i burce, na zbłąkanej szkapie przywlókł się pod Lwów i w Żółkwi niespodziewany znalazł przytulenie. Rodzice jego byli szlachta możni i possessionati, ojciec wkupił go na regestr chorągwi petyhorskiej między imienia Jego Mości Królewicza Xawera, a że był wielki przyjaciel i adherent księcia wojewody wileńskiego, więc kiedy ten pan przeciw Moskwie w pole wyszedł, młody Kryszpin za konfederacyą pod znaki Radziwiłłowskie przeszedł. Nie długa to była kompania, książę wojewoda niebawem placu ustąpić i sam zagranicę przebierać się musiał; a kto z jego wojska zawczasu o sobie nie radził, temu krucho było. Kryszpin dostał się w ręce furwachtu rosyjskiego, ale że był gorącego animuszu, gdzieś na kolegę szabli się dorwał, kozaków dwóch zostawił, trzeciego z konia zsadził i na kozackiej szkapie uciekł. Do domu ojca wracać i trudno było i niebezpieczno, przebierał się tedy iść za fortuną pana wojewody, tak sobie myśląc, że go kiedyś jeszcze rychło na popasie dojedzie). Szukał Radziwiłła jak wiatru w polu, a że mu ktoś powiedział, że pan ten pewnie do swych dóbr żółkiewskich uszedł, udał się w te strony, a kiedy po mnogich awanturach i dobrze zgnębiony biedą stanął w Żółkwi, bardzo mu było markotno, bo się przekonał naocznie, że Radziwiłła tam nie masz, a zato jest rosyjska komenda z białozerskiego pułku z korpusu gene-

rała Krzysztofowa. Miał już dragonić znowu, kiedy oto spotyka nagle dobrego znajomego, Litwina także a nawet krewniaka swego, Jegomości pana Marchockiego, szlachcica szczerozwrotnego, chorążego petyhorskiego znaku, któremu to Marchockiemu książę wojewoda wileński oddał jurysdykcję zamkową jako staroście. Ten go tedy wziął, ogarnął, przed wszystkimi gwiazdami salwował i u siebie chętnym sercem aż do dalszej jakiej mutacji rzeczy zatrzymał. [Kryszpin w Żółkwi srodze się nudził i na sukurs pieniężny od ojca czekał, a od czasu do czasu do Lwowa zaglądnął, gdzie, że lubił wesołą i wykwintną kompanię, do mnie i oficerów moich się przysiadał, nie bacząc na to, że my dragonia cudzoziemskiego autoramentu jako gotowizna króla Jegomości za inną szli partyą. [— A to mnie nie zawadzi — mawiał do nas — że ja z Waćpanami kunsztyką przyjacielską trzymam, abym do was nie strzelał, kiedy ze swoimi będę, a Waćpanów w polu do oczu stanę. [Bardzo my tego Kryszpina polubili a już najbardziej za jego wdzięczne śpiewanie przy szpinecie, za opowieści krotochwilne i przeróżne fraszki i przekomy, które zawsze bez większego kontemptu były, bo wszystkich śmieszył a nikogo nie urażył. [Owo pewnego razu przyjechał do Lwowa Kryszpin na owej szkapie kozackiej, na której był uciekł, a której się ciągle trzymał, jakieś nierychane ówczas wdzięki w niej odkrywając, i z gadywaną przybiegł na nasze kwaterę z wielką nowiną, jako mu pan ojciec jego przez pisarza ekonomii z Litwy wracającego trochę pieniędzy przysłał i pod rygorem do powrotu wezwał, kiedy jak prawił Kryszpin, rad temu jest, chce, że już w Żółkwi na łasce pana Marchockiego siedzieć nie potrzebuje, tak przecie mu bardzo markotno, że nas pożegnać by musiał, kto wie, czy na widzenie jeszcze, a jeśli na widzenie, czy na złe albo dobre. Owoż tedy odsiedziawszy separacji przy nas wszystkich oficerów, abyśmy do niego do Żółkwi jechali kominiarza na żegnanie, a on nas sowicie uraczył także nas uczcić po petyhorsku, z pięciu tysiącami profuzyą też i więcej, jakiego pewnie nawet Jegomość pan Zacharyasz Łada Zawojda, mój ówczas subaltern-oficer, co pod różnemi znaki i w różnych służbach walecznie pijał i jest expertus experientia, z pamięcią nie zasmakował nigdy. [Nie było rady i sposobu odmówić — pojechaliśmy tedy w pięciu do Żółkwi, gdzie Kryszpin w zamku wojewody swoją kwaterę u pana Marchockiego z wielką uczciwością nas przyjmował i aż do wieczerzy zatrzymał, na której inter pocula do wielkiej ochoty wszystkim nam przyszło, tak, że i ja, com

Falbowiem po klęsce księcia wojewody wielka wekse jest uczyniony, i pod obuchem różnych kondemnat jęczy, a partya przeciwna z wszystkimi wojsk, które od księcia z teraźniejszym miał, jest go odstrzelała, a nawet na ojcowiznie wielką opressyę mu czyni — tak że pomocy mu skuteczniej trzeba koniecznie.

w trunkach zawsze wstrzemięźliwej miary baczył, tym razem dla tej animacyi jego serdecznej nieco się nad zwyczaj zagrzał. ~~Zaraz~~ Kryszpin już przestał śpiewać, a Zawieyda zaczął, co znak był oczywisty, że obaj miarki swojej przebrali, żem zaś jeszcze trzymałem się tyle, aby pamiętać o wsie i że już czas, aby do Lwowa mnie wracać, bo nazajutrz z rana każdy znowu jakiś służbowy ordynans mieć a pan komendant Krzysztowski pod surową animadwersyą regulamentów rygoru przestrzegał. Zawieyda okrutnym głosem zaczął pieśń fijacką:

*Bibe, bibe, bibe, bibe!*
*Tu qui satis bibe, bibe!*
*Tum Zawieyda imperat!*

A bierze na sztych biednego Kryszpina, którego twarz gorzała z płomieniami, do niego kierował swoje koncepta i strofy — ale ~~kiedy~~ kiedy już zaczął srodze chrypieć i ledwie skończyć mógł apostrofy:

*Kryszpin, caput tibi fumat*
*Ne quis ignis te consumat,*
*Stingue mero citius!* —

nie dałem już dalej *stinguere* tego pożaru, który także oba gorzący byłby z naszych łbów na Żółkiew się przenieść i całe ~~pijanie~~ starostwo miasto w nocnej spokojności zalarmować, ale porwałem się szybko, szpadę przypasałem i dałem mym oficerom sygnał do zjęcia. Protestował się Kryszpin, puścić nie chciał, prosił mnie przyjść się sekundować, a widząc, że mnie próżno, rzecze:

— Tedy ja was odprowadzę! Zawołał na szynkarkę, kazał osiodłać „cwitki", bo tak nazywał swoje szybkie koniki, siadł i z nami drogą Lwowską się puścił. Zapomniałem z góry powiedzieć, że to zima było, i dzień piękny był, kiedyśmy ~~do~~ do Żółkwi jechali, ale teraz nocą, choć dosyć mroźno nie było i ledwie trochę tego zakrzepło na drodze, nagle wielka się wzięła zawierucha. Ledwie kilka *Zdrowaś Maryja* ujechaliśmy za miasto, kiedy tak się zmiotła przeklęta śnieżyca, że świata widać nie było. Przymawiał z tego nic mnie ~~było~~, nawet zawieja mniejszą musiał, spróbowawszy kilka razy, że wiatru nie przejada. Tak tedy pochyliwszy się w siodle jechaliśmy dalej, jeden o drugim nie wiedząc. Jakoś po godzinie drogi wiatr się położył, śnieg ustał, chmury podarły się w długie szmaty na niebie i księżyc wytoczył się jasny i rumiany jak dukat holenderski na niebo. Dopiero teraz jeden i drugi kołnierz z oczu

-spuścił, śnieg strzepał i do koła się rozglądnął, czyśmy gdzie w tej zadymce nie zbłądzili z drogi. [— Kryszpin! A gdzie Kryszpin? — zawołał naraz Zaręba. [Stanęliśmy, oglądnęli się do koła — Kryszpina niema! [Rada w radę, gdzieby się podział, a choć z początku trochę nam o niego trwożno było, tak wkrótce przecie jego zniknięcie skombinowaliśmy, że zapewne pojechał zaraz za Żółkwią, kiedy śnieżyca z takim impetem się zerwała, do domu się wrócił — a nawet prawdę mówiąc mówię, iżbyśmy zaraz po tylu zwrotach firmamentu by był nie zgubił, jakto Kryszpin istotnie wyjechał z nami z Żółkwi, bo wygląda tak samo pewno było jak we drodze od tej zadymki. Noc nasza była bardzo pogodna, księżyc w pełni, mróz mileńko — nie ma się stać nie mogło. [Nie ze wszystkiem nikt nie wiedział, jak się później pokazało, ale to przecież wyznać muszę, że nam się nic złego nie stało, owszem daj Panie Boże każdemu taką przygodę, jaka się panu zdarzyła. Czysta to osobliwość była i długo wszyscy w tych stronach o niej mówili — tandem i ja ją niedługo moje opowieści kładę.

Był znany szlachcic Ortyński (cześnik zwinogrodzki), który między Lwowem a Żółkwią na całe swoje włości siedział, a pewno miał wielce bogatego ale nadmiar oszczędnego szlachcica. Ten possessionatus, bo oprócz wsi, na której mieszkał, dwie inne za Lwowem posiadał jeszcze, a nadto sam miał na każdym pracie porządnym kluczu w okolicy. Lokował na dobry procent pieniądze, miał kapitały obszerne i u pana wojewody Lwowa i u pani kasztelanowej Humnickiej, i na Żółkiewszczyźnie u księcia Radziwiłła, a nawet żydom kulikowskim i żółkiewskim pożyczał, a skrzynka w domu mimo to pełna była. Zato przecież z skromnego szlacheckiego stanowiska nie wychodził, iżby był nie poznał po szlachcie, że taki sobie zamożny [F] [Ten pan Ortyński wdowcem był i miał tylko jedynaczkę córkę, pannę Marybellę, pannę wielce gładką i urodziwą, ale ją trzymał w domu jak w klasztorze wraz z ciotką panią daleką i za mąż wydać nie chciał, mimo że miała słusznych bardzo konkurentów, co się czynił, jedni mówili, że skąpstwo, aby zięciowi oprawy z posagu od fortuny nie dać, a drudzy, że z wielkiego affektu rodzicielskiego do swej córki, której tak miłował, że rozstania się umyśleć nie mógł, choć nie jeden z kawalerów mawiał, że go i z posagą by wyprzyjmował a gołą pannę radby brał, czemu ja, choć już stary, bardzo łatwo wierzę. [∃]

[Otóż tej samej nocy ten pan Ortyński z swoich zaścianków włości, na których tylko podstarościego miał, wracał do siebie, a kiedy go burza zaskoczyła, w karecie pod Żółkwią przejechał i dopiero po pewnym miniątku w dalszą drogę się puścił. Ludzie śnieżć

[F], bo tem bardziej się krył z fortuną, że wielce małego animuszu już z natury i trwożliwy bardzo z przykrych czasów, a śród przeróżnych zaburzeń politycznych tej pory niespokojnej bał się okrutnie jakiejś wygrawacji lub rzezi, a że w sercu był wielki oponent Króla i z całą duszą do konfederacji sprzyjał, tedy choć się z tem nigdy nie pokazywał, przecie własnego się cienia bał i z tego nawet w pamięci był znany.

[∃] Jeden przecie konkurent statecznie koło ojca i panny zachodził, to pan podsędek Omęta, i ten choć u panny żadnych aspektów nie miał, ojca nie odstępował, bo i córkę trochę ojca miał po sobie i cierpliwością a wytrwałością zniewolić się spodziewał.

mili ujechał, kiedy tuż obok drogi na polu widzi w świetle księżycowem konia, stojącego nad czemś czarnem, co odbijało wyraźnie na białym śniegu. Koń był kozacki i po kozacku okulbaczony i stał prawie martwy, że zdało się jakoby straż trzymał przy [illegible]!

— Juraszku! Co to za koń tam na polu? — pyta pan Ortyński wychylając się z kałamaszki. — I koń i człek jakiś koło niego, jeno że albo śpi albo zamarzł... — Jeśli śpi, to go zbudź — mówi pan Ortyński — a jak zamarzł, to weźmiemy na odpoczywanie... Ale widzi mi się, że śpi tylko. Juraszek zlazł z kozła, podszedł do konia i zobaczył, że w śniegu leży młody człowiek w ciemnej burce, jakiej kawalerya narodowa używała, w kołpaczku pilśniowym na wojskowy modełusz, w długich sztylpach z ostrogami i przy szabli. Wziął Juraszek oburącz leżącego za bary, potrząsł nim jak snopem raz, potrząsł drugi, że prawie [illegible] i [illegible] był z kretesem, ale on nieboraczek ani powiek nie rozwarł ani najmniejszego dał znaku życia. — Zamarzł panie! — rzecze. — Requiescat in pace... — mruknął p. Ortyński i z ciekawości dodał jeszcze: — Czy kozak? — Nie kozak panie; szabla od srebra i ubranie też bardzo frantowne... Tak coś z szlachetka wygląda! Pan Ortyński z czystej ciekawości a i chrześcijańskiej komizeracyi po trosze, bo i to i jeśli znajomy który lub sąsiad może być, choć tego [illegible] kozacka mi przyszła — zwiódł zaraz [illegible] i tak w samej liberyi poszedł ku leżącemu. Patrzy, leży młody człowiek bez ducha, ubrany przystojnie, z szabelką misternej roboty, srebrem bitą, z egretą takąż srebrną u kołpaka i głownią agrafą przy burce — snać człek pierwszejszej kondycyi. Pochylił się ku nieżywemu, zdjął rękawicę z jednej ręki, patrzy jest pierścień z klejnotem szlacheckim, jeno herbu odczytać nie mógł po ciemku. Kiedy jeszcze raz i drugi potrząsł leżącego, [illegible] co stał nad umyślnie, stoi [illegible] z boku nad głową — źle, ani rusz. Zamarzł i kwita. — A co teraz zrobić — myśli sobie p. Ortyński (już trochę przestraszony i na samego siebie zły, że dla płochej ciekawości zatrzymał się w drodze a teraz przyszedł w odpytał i kłopotem. Jechać dalej i zostawić [illegible] przyjaciela nieludzka rzecz; zabrać z sobą jeszcze a gdy go odjedzie, dopiero zamarznie na prawdę. Więc zrobić — także źle, najgorzej może; przysięgam [illegible] co zrobić [illegible] tobie zwierzać! Może najlepiej i zostawić; a com ja temu winien, że zamarzł biedaczek, nie odmarznie przy mnie... Ot najlepiej wrócę zaraz do karczmy, tam zostawię, a sam się od wszystkiego [illegible] [illegible]... Kiedy bo szlachcic, niech to zgubić i z klejnotu — a kiedy szlachcic

cie to i katolik — ostatnia tandem rzecz zostawić [illegible] u żyda. A mój niebora-
czek przy sobie ~~pieniądze~~ grosz ma jakiś, obedrą go; na sumieniu to będzie... Wszystko wracać
do karczmy taka droga, jak do domu. (Co robić?) [ Tak się bił z myślami pan Ortyński, i urwać się
chciał od wszystkiego i żal mu było, i bał się i gniewu wstydził ~~się~~ — aż naraz [illegible]
[illegible] szklaneczkę [illegible] [illegible] i przeglądał się [illegible] z sobą [illegible]. Wzięli go otaj z
~~[illegible]~~ sługa, [illegible] do Kałamarzyka, [illegible] przytrzymali i [illegible] do domu. Przez drogę bardzo
markotny i zafrasowany był pan Ortyński — straszno mu było tonącego, gdyby się nie
bał samemu i nie wstydził swego Jurczyka, byłby gdzieś po drodze zsadził gniewu na
[illegible] niebożątka. [ Po małym czasie Kałamarzyka stanęło przed dworem. Świeciło się jeszcze
w dwóch izbach, to panna Marybella czekała z ciotką na ojca trzymając w pogotowiu
[illegible]. Pan Ortyński kazał cicho zajechać i nie strzelać z bata, bo bał się ~~[illegible]~~ kobiety przestra-
szyć takim gościem; przyniósł [illegible] i kazał mu razem z Jurczykiem gońcem ~~[illegible]~~ niebo-
rzątka po cichu do alkierza i tam złożyć na łóżku a [illegible] za ~~[illegible]~~ (prowadzić) do stajni, innego zaś
~~[illegible]~~ wysłał co tchu do [illegible] plebana, aby z nim zrobić consilium, co w takim dziwnym
a fatalnym terminie dalej poczynać i aby [illegible] niebożątka uwinąć zaraz w krucho
[illegible]: [ Kiedy pan Ortyński wszedł do izby, chciał się [illegible], jako był [illegible], do swojej
kochanej Maryni, ale mu to zastygło na ustach i ani razu było przytomnie [illegible]
dziewczyny. A było przecież z czego radować się ojcowskiemu sercu, bo widok takiej dziewczyny
gładkiej i [illegible] (ej) przecie w duszy robił — takie to było [illegible], a hoże, a miłe ~~[illegible]~~ i
wesołe. Nie gadali za wiele w powiecie; piękniejszej panny pewno nie było w całej okolicy.
Nuż teraz pytać, ~~[illegible]~~ [illegible], ~~[illegible]~~ [illegible] czynić za starym: a co ci jest, ojczę stary, a
czy z [illegible] wracasz, a [illegible] taki [illegible]? Stary się [illegible] jak mógł, powiada:
zimno jest, jeść mi się chce — i zasiadł do wieczerzy, ale nie ~~[illegible]~~ [illegible] mu było,
co kęsek zjadł, to go ~~[illegible]~~ okrutnym haustem wina zalewał. A jako wino dobrze prze-
szywał jest, [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] — tedy i pan Ortyńskiemu cieplej
się zrobiło i ~~[illegible]~~ [illegible] na sercu i nawet sam się (zgodził) w myśli strofować, czemu się tak
po babsku ~~[illegible]~~ (przestraszył) [illegible] małym gościem w alkierzu. [ — Albom ja ten mógł był, co
go (na śmierć) ~~[illegible]~~ [illegible], albo co? Oddam go kiedyś do trumny, dam na mszę za duszę biedną
szklaneczkę, nawet pogrzeb sprawię — a tak czy owak chciej i co lepszego począć! [ Tak

sobie powdziawszy pan Ostyński uśmiechnął się do Maryśki, a nadobne dziewczątko zapewne czu- łości ponowiał i znowu węgrzyna pociągnął. Jeszcze miał szklanicę przy ustach, gdy nagle drzwi... drzwi... zadzwoniły w sąsiednim pokoju ostrogi i zastukał ciężki krok męski. Pan Ostyński drgnął cały i aż wino przelał, panna Marychella porwała się z krzesła, obaje spojrzeli w stronę, skąd krok słychać było... W tem drzwi z trzaskiem i impetem rozwarte zajęczały jak dusza potępiona — a w progu stanął... kto... owo nic, z trzewiczkami bryzgając zmarzniętymi w śniegu... a nie kto inny także, jako Jelli pan Rafał Kryspin, sowity towarzysz petyhorskiej chorągwi Jego Mości Królewicza Kawiera!... Pan Ostyński po- rwał się na równe nogi, ale w tej chwili zadzwoniły mu kolana i opuszczając szklankę na stół, zapadł się w karło i przeciągłym głosem zawołał: — Wszelki duch chwali Pana Boga!...

Petyhorzec tymczasem jakby nie widząc nikogo, obeszedł ponoć do stołu, bierze szklenicę, nalewa wina, a wychyliwszy do dna, zaczyna śpiewać tam, gdzie ją pan porucznik zawsze urwał był w żółtku:

Kryspinie! Caput tibi fumat,
Ne quis ignis te consumat...

Ale nie skończył, bo prowadząc okiem po izbie mać pomiarkował się zaraz, że to nie owa wesoła kompania, z którą na weletę pił w żółtku... Stał w chwilę bez kontinansu, do gruntu skonfundowany, udając się w szkło, przetarł oczy, potarł się wąsa w tył, jakby chciał salwować się retyradą, zatrzymał się znowu, ukłonił się z wielkim respektem stanowi szlacheckiemu, ukłonił się i wstecz, ukłonił się po raz trzeci pomawiać i z kawalerska galanterya pannie Marychelli i wspaniałym głosem do solennie zawołał:

— Mój Miłościwy Panie Dobrodzieju! Moja Jej Mość Pani Dobrodziejko! Moja Mościa Panno Dobrodziejko!... Znowu trzy razy z wielką probacyą pokornego respektu się ukłonił, lecz teraz po fundamencie uważał, twarz wąsa podsunął, chrząknął, chciał coś Karwasz u rękawicy odpiął, (ale głos potknął) powiedzieć, i tylko wielkiemi oczyma i śmiesznej admiracyi to na pułap to na podłogę patrzył... Tak trwało dobrą chwilę i nie wiedzieć, którzy się byli pierwszy odezwał i pierwszy ocknął, czy sam gospodarz z przestrachu, czy Petyhorzec z konfuzyi, czy panna Marychella z zadziwienia, kiedy jakby na zawołanie stanął we drzwiach ksiądz pleban, który przywykszy pan zgadzać się i mawiać, jak o to był proszony, już w ochoczym nie- bezpiecznie zastał i do pokoju wszedł, nic nie pojmując z tego enigmatu. Zbliża się tedy wprost ku gospodarzowi i z uśmiechem przyjaznym: — Laudetur Jesus Christus! A gdzież co

niebożczyk mizeraczek? [ Pan Ostyński, któremu kompania duchownej osoby dodała od razu odwagi, wstał z krzesła, rękę podniósł i palcem wyciągniętym na Petyhorca wskazując, zawołał: [— Oto przez pijarowski nieboszczyk, oto mizeraczek! [ Wszyscy zwrócili z podziwieniem wielkim wzrok po Petyhorcu, bo nikt prócz p. czernika nie nie rozumiał, a już najmniej sam towarzysz petyhorski. Zawsze przecież na ten raz pojął, że go nieboszczykiem nazwano i rzekł: [— Mam honor rekomendować się osobliwszym całej przezacnej kompanii: Jestem Rafał Kryspin, znacznego herbu, towarzysz petyhorskiej chorągwi Jego Mości Królewicza Xawiera; ale nie nieboszczyk jeszcze, chociaż zawsze śmiertelny do tego tytułu kandydat! [— To Waćpan żyw! — zawołał p. Ostyński na pół krzyknąwszy, na pół zły, że się tak daremnie trafiła swoja przygoda. [— Mnie się widzi, żem żyw, albo Waćpanisko inaczej? — odparł z uśmiechem Kryspin i rzucił z kawalerska zalotnie oczyma w czarne oczy panny Marynelli. [ Pokraśniała dziewczyna aż po uszka i szybko głowę spuściła a p. Ostyński pyta dalej: [— To Waćpan, Mości towarzyszu, nie zamarzł? [— Jeślim zamarzł — rzecze pan śmiejąc się Petyhorzec — to chyba umyślnie na to, aby tu odtajać... — i znowu rzucił się [illegible] na pannę Marynellę. — Ale mój Mości Panie Dobrodzieju — dodał skłaniając się z przystojnym respektem czernikowi — tu ja przez pewnie o pozwolenie zapytam wzajemne pytania, bo ja nie wiem, o czym gadacie. Żem tu jest, gdziem być widocznie nie miał, to już wiem, ale jak się tu dostałem, to już przecie dla mnie enigma. Tedy aż pytać nie śmiem; ubi, quomodo, quando, cur, quibus auxiliis? [— Ubi? na śniegu znaleźliśmy Waćpana, Mości towarzyszu; quando? przed dwiema godzinami? cur? boś Waćpan leżał nieżywy i żal mi było zostawić szlachcica i katolika w szczerym polu [illegible] na pożarcie... Ale i tak jeszcze lepiej, jak się stało; siadaj Waćpan, pożyw się winem i opowiadaj, coś na tamtym świecie słychać!... [ Kryspinowi dwa razy tego nie gadaj; odpiął szablę, zasiadł do stołu a za półgodziny już tak wesoło rozmawiał i żartował, jak by Bóg wie od kąd był konfidentem domu lub do familii należał. I patrzajże owo, tak ten niemłody Litwin z miejsca wszystkich za serca przyjął brać, tak całą kompanię zabawić umiał, do każdego wieku i stanu szczerze się akkomodując, że już dawno północ wybiła, a nikt o spaniu nie myślał, a księdzu plebanowi do domu się nie kwapiło. [ Dano Petyh-

wozowi posłanie do altierza, a kiedy już znalazł się na pościeli, dopiero medytować gruntownie począł, jakim sposobem znalazł się w tym domu. Przypomniał sobie, że z nami na świeże powietrze wyjechawszy, jakiś czas od brody jechał, choć firmament cały do koła niego chodził, ale później tak go strzyżka aura zimowa zmogła, taka senność go wzięła ciężka, że się otwier zmarzł z konia i co już dalej było, nie pamięta. Szczęście jego, że szkapa z kozackiej szkoły była i nie odbiegła pana ani kroku, bo inaczej p. Ostyński nie widząc konia i jeźdźca w śniegu nie byłby dojrzał — a stąd byłby zginął towarzysz i do zobaczenia przy apelu na Jozafatowym kampamencie! Tak medytując zasnął Petyhorca smacznie i zdrowo i jeszcze na domiar same delicyja mu się śniły, a tych fantazyj sennych protagonistką była śliczna panna Marcybella, z gładkim, przejrzystym liczkiem i z oczami pełnemi czarnego a słodkiego blasku... Kiedy się rano ocknął, już gospodarz dawno był wstał i z ranną polewką gościa czekał. Kryszpin tym razem solenną minę przybrał i z wielce układną swadą począł wywodzić afekta wdzięczności za ratunek od ciężkiej przygody a może i śmierci, przepraszając zarazem, że kłopotu sprawił jegomości a może i gościnności nadużył, bo zaraz winien się był wracać do domu. Tedy dziękując mu jeszcze i zapewniając o wiecznych sentymentach wdzięcznego serca, pan Kryszpin żegnać się począł i prosił, by mu szkapę osiodłano. Ale rad był p. Ostyński wczesnemu odjazdowi. — Wiesz Waćpan co — rzecze — zostań się nam jeszcze. Jutro moje imieniny, przyjedzie kilka panów braci i sąsiadów, jakieś panienki także się zjadą, bo ty wiesz, że to zawdy wdzięcznie wasza — będzie miła ochota... Damy nam to dwa dni jeszcze, trzeciego pojedziesz! Kryszpinowi nie trzeba było długo perswadzić, tedy z polskim ukłonem mówi. — Jako niebożczyk tu się dostałem, a niebożczykiem trzeciego dnia chcecie. Tedy kiedy taka miła wola, zostanę do trzeciego rana, a potem umykać będę co żywo, aby mi wróci zgadek z marcami! Został tedy i dobrze mu było, a i cesarzowi znacznie lepiej. Odgadł przez temperamenta wszystkich osób, i zbadał tego brać, jako wyższy uczony, chociaż może dobrze, że i jego brano, a to właśnie na promienisty arkan tych czarnych oczu, co mu w sennej fantazyi tak ogniście gorzały... Dość na tem, że wielka była w domu z petyhorskiego towarzysza pociecha i pożytek. Na wszystkiem się znał, o wszystkiem mówić umiał. Gości dobrodzieja wyszukał kuchnią literacką i dyktował recepty na nowe zamorskie rysztunki, które na magnackich stołach jadł, kiedy z

dworem księcia wojewody wileńskiego przez alakrytę w Warszawie bawił, uczył ją wyborny Kaliszan wazyć, petowymet przysięgać na szczerości sumie i alabryrz gotować, co to ma być sos nad sosami, rzetelne extractum wszelkiej smakowitości. [Pannie Marybelli na szpinecie nowe arye grywał i najnowsze paszkwilki śpiewał, a o modach tak gruntowny dyskurs z nią prowadził, że p. Ortyński nadziwić się nie mógł, skąd ten Petyhorzec z zagrody Litwy tak perfecte warszawskie elegantki jak wyje opisywał, umiał prawić szeroce jakie tery pełne panie w stołecz sukienki noszą, jak się w formie zmieniały kornetka i dziecieli, jak się bryzują kornetki i jak angażanty i manele z mody wychodzą. Tylko tego nie śmiał powiedzieć, że pełne panie na dworze naszego Króla złotego już kryzy bryzowanych na szyji nie noszą ani angażantów na rękach, bo i ramiona i piersi odsłaniają, kiedy wcale nie należy, gdy najstrojniejsze sobie mają. [Panna Marybelle, w skromności szlacheckiej chowana, która zawsze myślała, że jej czarne warkocze przetkane srebrnym bajorkiem, najmodniejszą są fryzurą, nie mogła się nadziwić temu wszystkiemu, ale jeszcze więcej niż o strojach, słuchała, kiedy zawsze Petyhorzec jakieś wdzięczne amoroso zaśpiewał. [Nawet o wiedzy plebanie Krzyżpin nie zapominał, ale mu wielką sprawił satysfakcyę informacyą o nowym sposobie tarcia tabaki, najprzedniejszej w ścianie marszałkowskiej i prawdziwej delicyi najprzebraniejszego chóry czy świeckiego czy duchownego nosa, a to wedle sekretu swego wuja, regensa kapituły włocławskiej, który tyle a tyle lawendy, tyle a tyle pergamuty, tyle a tyle kopru et cetera daje, z czego taka pyszna tabaka, że przed nią wszystkie santomerki, holenderki, hiszpanki i syrakuzanki w kąt idą!

[Ale największą pociechę i największy oblektament miał sam Jegomość Pan Ortyński. Trzeba wiedzieć, że był to najzagorzalszy w świecie politicus i statysta i najgorętszy partyzant konfederacyi barskiej, wróg zaprzysiężony Króla, jego partyi, familji Książąt Czartoryskich i aljantki rossyjskiej — ale wszystko to pod garncem, w czterech kątach domowych, żeby nikogo nie było, jeno on jeden a pieć drugi. Jak już bowiem się rzekło, wielce mizernego był animuszu, nad wszelką miarę bojaźliwy i o skórę swoją i o fortunę, a nie wiadomo o co bardziej, bo jedno kochał nad drugie. Tedy im bardziej nienawidził Króla i wszystkich jego adherentów, tem bardziej się bał, im z serdeczniejszym ferworem lgnął do partyi przeciwnej, tem trwożniej i gorzej mu było — a kiedy przyszło osobliwie do tego, że opresya i gwałt zarzucać był w Rzplitej argumentem i racyą stanu, tedy jej dusza była szlachecka na [Ale że i Kościół

pękanie, kiedy do zbytku go pokrzywa nałogi, tedy i pan Ortyński musiał dawać folgę swemu rankorowi i gorącowości politycznych passyj, a czynił to zamykając się w izbie i do swojej księgi foliantowej wpisując swoje expektoracye. Tedy zdawało mu się, że jest obywatelem rzymskim Regnaninem, civis impavidus, co pro publico bono walecznie gardło azarduje i pióro skrzypiało po papierze, zgrzytając okrutnie, jakby czuło i dzieliło indygnacyę pisarza. Tedy zdało się jegomości panu Ortyńskiemu, że niczym w sejmie i prawi mowę przeciw przyjaciołom wolnych obyczajów tej starej Rzptej, to że na sejmiku przeciw familii fermentuje, to że na kształt ciska groty żelazne swojej mojej mowy — i stąd mamy w jego księdze fulminant dwie tytuły: Protestacya deklaracyę JMci posła rossyjskiego Repnina; Głos JMci pana Matiusza Ortyńskiego przeciw opressyi wolności; Manifest JMci Pana Matiusza Ortyńskiego, czesnika zwinogrodzkiego, przeciw panu stolnikowi litewskiemu jako niegodnemu uzurpatorowi korony polskiej; Remanifest JMci pana Matiusza Ortyńskiego na manifest imperatorowej rossyjskiej etc.

‡ JMci p. Matiusza Ortyńskiego, czesnika zwinogrodzkiego

[Kiedy taką mowę napisał, a przy każdem zdarzeniu publicznem spisywał ich kilka, deklamował głośno, z patosem i srogą surowością głosu i gestu, ale jak w kominie coś trzasło, lub podrzewiami szelest się jaki ozwał, zamykał księgę i z trwogą przyglądał się z krzesła. Wielka była fantazya u tego szlachcica, ale strach jeszcze większy. Oprócz tych mów przeróżnych, manifestów, remanifestów i uniwersałów pisywał satyry i paszkwilusy na wszystkich możnych ludzi, magnatów i ministrów, którzy do królewskiej partyi się liczyli, a komponował to wiele foremnym wierszem, z wielkim nakładem złośliwości i najuszczypliwszych konceptów. [Otóż kiedy Krzyszpin o swojej przeszłości się rozgadał, a kiedy opowiedział się z swoją niechęcią przeciw partyi królewskiej, kiedy wspominał o swojej wojennej kampanii w szeregach księcia wojewody wileńskiego przeciw wojskom imperatorowej aljantki, i jako teraz było w domu na Litwie trochę rzeczypospolitej sytuacyi ojca otrzymał, jeszcze do konfederacyi się przebiera i do ostatniej krwi kropli bić się będzie — a szczerość to była mu fałszu żadna, bo w punkcie swojej konwikcyi politycznej był zelant i zapaleniec wielki — kiedy się tego wszystkiego p. Ortyński nasłuchał, taka go wzięła odwaga a raczej taka konfidencya do Petyhorca, że go w secretissima swojej inkaustowej opozycyi wtajemniczył. [Teraz byłyś zdrów szpiegu, byłyś zdrów panno Marysieńko — stary zamykał się z towarzyszem petyhorskim na całe dnie w kancelaryi i czytał mu czytał i czytał i czytał z tego swojego repertuaru. Im dalej w las, tem więcej drzew — a że to silva rerum była, więc non claudicat comparatio — Krzyszpinowi było tej mowy tak nagłej jak topielcowi wody.

Ale że już był kawaler, tedy nie dał poznać po sobie, że wolałby przy pannie Marybelli sie-
dzieć i że mu już nudno od tych oracyj i uniwersałów. [— Mości cześniku dobrodzieju —
ozwał się w jednej pauzie, kiedy szlachcic przerwał już blisko godziny in flumine oratio-
nis naciśnie tak nieco tapał — przy tego Waćpan nie uprzątniesz ani przed tą historią,
nas ojczyzny mego ani (sobie) posteritatem, że mogę być ozdobą sejmów i luminarzem
polityki, światło jak Kongres chowiesz... [Pan cześnik aż drgnął na samą myśl, aby
temi pionnami, które zmaczał w celnej oprawie, miał strzelać (które) publicznie i aż za-
trząsnął księgą, ale się pomiarkował i mądre zdradzić się z malenkością serca swego,
żeby przegnać: [— A co ja, szlachetka biedny, chudzina domator, Lewiń, chorąży jak
powiedzy, byłoby (z czego) potomności pamiętać? Dziś prawda w nie, siła grunt. A
gdyby Minerwa sama muszkieta w szczęśliwym porze i niemiecka nowił Kozaków i
drugiej, ani asystowały cudzoziemskiego wojska, tedy któżby jej słuchał? Trybunał z
dekretem, Radziwiłł z muszkietem! Ale posteritas to rzecz; ta księga to najdroż-
szy skarb mój, to honor i splendor cały mego domu i mego imienia; kiedyś czytać
będą i nie powiedzą, że w tych ciężkich czasach politycznych niesnasek nie było człeka
cnotliwego ducha i serdecznego zamiaru dla ojczyzny! I racz to Waćpan za pe-
wnić mieć (solide), że kiedyś i pana stolnika litewskiego i księcia podkanclerzego, i
imperatorowej rosyjskiej nie stanie, a Ortyński żyć będzie i jako redivivus
chodzić między bracią szlachtą! Synów nie mam, ale wnuka Bóg da (może) się doczekam,
a wtedy mu oddam tę księgę cylinie w ogrodzie. [Petyhorzec westchnął
tęsknie, bo i przyjął w duszy, jakby w ciąży ta radziłby panu cześnikowi
przyspieszyć i ... tej (księdze) assekurować — a p. Ortyński wziął to westchnie-
nie za znak admiracyi i począł czytać znowu jakiś remanifest na ma-
nifest. Na szczęście Petyhorca były między temi oracyami, uniwersałami i ma-
nifestami także satyry i libelle, które stary cześnik bardzo skrzętnie i wiernie
z pietyzmem układał. [Inter alia były tam paszkwile, jeden na króla,
który jak go p. Ortyński statecznie nazywał, na pana stolnika litewskiego, drugi
na jego potężnego adjutanta, imperatorową. Oba te wiersze tak szpetne były w kon-
cepcie, takie ... a ... zawierały jovialitates, takie mnogie
tam były salse dicta, że się wtedy Petyhorzec posłał i razem w tym miejscu, bo

> C. d. n.

ja, którym je pojmuj w opisie czytał, przyznać to muszę, że choć siła wielka takich satyr i wierszy wówczas po Polsce obiegała, mało między niemi było, coby z temi mogły wyjść w ważny parangon. Kiedyś je wam wyrecytuję, bo na pamięć je umiem, jak o tych rzeczach wolno opowiadać będzie, bo i to materya ciekawa, ale teraz to do rzeczy nie należy.

— Mości cześniku dobrodzieju — zawołał Petyhorczyk wystawiając oba pazurki — jakto o taką Waszmości proszę, daj mi zrobić kopię z tych arcydzieł wierszy.

Cześnik przestraszony z trzaskiem zamknął księgę.

— A to na co? — zapytał patrząc z wielkiem niedowierzaniem w oczy Krzyszpina.

Ale oczy Petyhorca tak niewinnie i szczerze się śmiały, że p. Ostrzyński już z łaskawszym okiem spojrzał na nowego.

— Na co? A jakże możesz tak pytać, Mości cześniku dobrodzieju! — wołał Petyhorzec — Alboż to trzeba w świat puścić, między ostrych towarzyszy! A cóżbym ja był dał, gdybym to miał, boże jeszcze nie drugie będzie [illegible] wybornego? Kiedy się dostanę między swoich, a nam nadejdzie, że rychło widzieć się będę w konfederackim obozie, tedy to będzie [illegible]!

Pan Ostrzyński zamyślił się chwilę i rzekł:

— A nie zdradzisz mnie Waćpan?

— Jakże to miałbym zdradzić Waszmości?

— Nie powiesz nikomu, że mego konceptu i autorstwa satyry?

— Jeśli czcigodny cześnika żąda, to nie powiem nikomu.

— Dajesz na to verbum nobile?

— Verbum nobile i parol kawalerski, słowem szlacheckie i towarzysza pancernego znaku!

— Przysięgasz!

— Przysięgam! — odpowiedział Krzyszpin, ale już zdziwiony spoglądając na cześnika.

I zaś może niejeden to będzie miał sobie za wielkiem [illegible], że szlachcic żarty w wolnej Rzeczypospolitej, gdzie język miary nie znał a słowo [illegible], tak wodze się bez persekucyi. Owoż raz, jak już z góry napomniałem, pan cześnik Ostrzyński był z natury swojej bardzo lękliwego serca i z tego już w powiecie całym dobrze go znano, a potem, dziś się o tym [illegible] rzeczy, które i śmiałego [illegible] a bojaźliwego srodze zastraszyć mogły. Nigdzie nie tak łatwo o srogą opresyę jak w Rzeczypospolitej, które swawola i niesforność wyrządza [illegible] ładu i prawa, i gdzie prawo to wtedy tylko ma rację, kiedy i siłę ma. Swawola z gwałtem parę chodzą, a gdzie pierwsza [illegible] rozwiąże, druga sprawiedliwą władzę zastępuje, tam przy ładzie [illegible] politycznej i rozbojów [illegible] cały kraj staje się magnum latrocinium.

Gdzie wszystko wolno, tem i gwałt pozwolony. Tak się było rozpasało wszystko w Rzpltej

/.

za owych opłakanych czasów moich, a do tego przybyły jeszcze takie zamieszania i owe rozterki domowe, że było to niemal ustawiczne bellum omnium contra omnes. Więc to jest dobra reguła: na kordle deptaj, z bratem nie graj — ale w tych czasach, o których mówię, u nas była przykazaniem. Nigdy też owa okrzyczana wolność i równość szlachecka nie była bardziej podana na śmiech i ludibrium, niż wtedy. Przetoż też przypadało wielce sromotnie, kiedy następował na tego adwersarzowi i umiał go przyprzeć do ostatka. A co mówić wiele na przykład biednego p. Ostrowskiego, jeśli miał od siebie o dwie mile garnizon rossyjski i generała Krzeczetnikowa, o kilka mil k. Hetmana Branickiego, trochę dalej jakąś chorągiew konfederacką, a tak trzymaj z kim chcesz, zawsze obawiaj się, jeśli cicho nie będziesz siedział. Albo to pan cześnik grzymogrodzki nie widział, jak i z bratem wcale przegrano, kiedy jeszcze [illegible] na nie przyszło, albo nie wiedział, jak owej orat brali księcia Czartoryskiego na księcia Karola Radziwiłła, albo nie patrzył na rozbitków wojsk hetmana Branickiego, kiedy mizernie uchodził ku Węgrom, albo nie słyszał o porwaniu senatorów, biskupów i magnatów? Kiedy ani Karmelici ani Jezuici nie byli bezpieczni, co dopiero gadać o szaraczkach. „Świadkiem był przyszłości" — rzekł raz za dewizę pan cześnik — i bał się bardzo, bał się okrutnie, a to jedno wolno mu było.

Po tem, co się tu rzekło, mniej wam może będzie dziwno, że p. Ostrowski przysłał Pstrzymowi na kopię obu satyr politycznych tylko anonimiter, pod juramentem i największą tajemnicą. Pstrzym admirował to więc jeszcze bardziej, wziął za swe pana cześnika, a kiedy wyjechał na imieniny, zjechało się trochę sąsiadów, gdy go pan Ostrowski jakby starego przyjaciela z wielkiemi pochwałami wszystkim prezentował. O tej zabawie nie będę już mówił — dość na tem, że Pstrzym wszystkich uczęstował i wszystkich mimo ukontentował swoją kawalerską grzecznością, wesołą swadą, śpiewem i przezabawnemi konceptami. Jednemu tylko mruczno jakoś było i krzywo się patrzył na towarzystwo, a był to pan podstolik Omęta, sąsiad p. Ostrowskiego, podstarzały już wdowiec bezdzietny, o którym wam już wspominałem, jako go panna robiła konkurentem o śliczną rączkę panny cześnikówny. Ten pan Omęta mały był, łysy i przysadzisty, przytem zalotny wielce ale w tych mizernych już zalotach śmieszny — zalecał się dawno już do każdej kobiety, a już najbardziej panny Marybelli, której też nigdy wyraźnie deklarować się nie śmiał, jeno tylko oczki bawił po deprecatum zawracał i z wielkiego afektu żałośnie wzdychał. Ale widział niecnota, że jej [illegible] przyszłym i czekaniem cierpliwem ją wygnie, bo ojciec rad mu był i w gospodzie go miał estymie, raz dlatego, że podstolik bogaty był a skąpy, a do takich

ludzi. Czesnik miał już wrodzoną inklinacyę, secundo, że podsędek, owczy palestrant, dobry był jurysta i chytrze Czesnikównę w każdej sprawie patrocynował, nie za to nie biorąc, bo wiedział że ojcu dobrze pójdzie, to mu jego fatygi Czesnikówna i jej posag z wstrętnym zakładem zapłacą. Otóż tedy Oresta markotny był bardzo, że Pętykowicz tak się do panny przysadza, a ona też wdzięcznie to przyjmuje i tak mile jego fatygi. Nie mógł nawet przemóc po sobie, aby Czesnika z przekąsem nie zapytał na boku: — Jak to Waszmość nazwałeś tego... tego pętelkę?[2] — a trzeba wiedzieć, że tak zwano pana Pętykowicza, bo tak srebrną pętlicę nosił na prawem ramieniu u kołpaka.

— Rafał Kryszpin, własnego herbu, szlachcic litewski, towarzysz pancernego znaku.

— Hm... Kryszpin, Kryszpin,... jakoś mi to nie po szlachecku sonat... Kto to wie, co zacz ten ptaszek i czyj towarzysz; już to wygląda mi bardzo lekkiego znaku... Teraz to się tego auto-ramentu tyle widzi wszędy... hm... hm... — Ale Waści, panie podstolicu, bruździ się pan Czesnik — dobry szlachcic, z pięknej parenteli, bierzem go dobrze na konfessatę. Choć nie od rzymskich Crispinusów pochodzi, jak to sam śmiejąc się mówi, to zato senator na senatorze rósł. Jeden z jego familii był wojewodą witebskim, jeden biskupem żmudzkim, kilku było kasztelanami, a jego stryj jest cywunem wileńskim, a koligacya także nie szpetna: z Wołłowiczami, Denhoffami, Chreptowiczami... A grzeczny jakoś sam jeździ, gdyż na więcej nie widzieć. Ostatnie słowa uspokoiły trochę pana Orestę ale skrzywił przecie nosem, zrobił instygatorską minę i machnął ręką, jakby on temu wszystkiemu niewierzył, bo co sam wie, to wie, i nie jego zgadnie w kraju. Po zwarej zabawie co bliżsi goście wyjechali do domu, a dalszych na noc pan Czesnik zatrzymał, gdzie pana podsędka także, bo choć najbliższy sąsiad był, to go Czesnik za przyjaciela domu uważał. Wszyscy też do nas się pokładli i rychło pewno posnęli, tylko dwoje nie spało w czesnikowym dworze: panna Marysieńka w swoim panieńskim pokoiku i Pętykowicz w alkierzu, gdzie już jako nieboszczyk był stanął. Panna Czesnikówna sama nie wiedziała, czemu zasnąć nie mogła, ale dziwno jej było, że co zamknie oczy, to staje przed nią uśmiechnięty Pętykowicz i ani go pędzić nie odpędzić. Kryszpin zato wiedział dobrze, czemu sen od niego stroni, ale tem markotniej mu się myśl. Podobała mu się Czesnikówna — to można powiedzieć, czuł z dawna to jakiś głęboki sentyment nią i po stoku pokochał, że to naprawdę affekt serdeczny, rzetelny i przemożny. Widział, że ta miłość jest bez żadnych sperantów, bo pan Czesnik, jak wszyscy, szlachcic bardzo zapewne nie da jedynaczki przeważnemu żołnierzowi, bez ustalonej kondycyi i bez fortuny. Gdyby to było dawniej, przed wojskowemi konfederackimi umiarami, [illegible] stary Kryszpin mógł stąd pójść i syna przystojnie afiliować i sobie [illegible] [illegible] [illegible] zostawić — ale

teraz, kiedy ojciec vehemencyą zręcznych przewinień zrujnowany i wszystko co miał przedtem, pod kuratelą było — jakże tu teraz kusić się o rękę cześnikówny?[2] Piękny mi konkurent, że świeżo zgermanizowany, który nic nie posiada oprócz czapki kozackiej, szabli i kilku dukatów na drogę do Litwy! Po takich reflexyach prawie kontent był, że jutro wyjeżdża i że chwilowy choć w żaden sposób zostać nie może dłużej, bo[3] okazyę, która mu się trafiała, najdalej pojutrze korzystać musiał, a później już (chyba) swoim na kozackim koniu odbywać (by mu przyszło) podróż na Litwę.

[Nazajutrz po śniadaniu miał Petyhorzec pożegnać dom pana cześnika. Smutno mu było i bardzo ciężko na sercu, to też przy śniadaniu nie dał się wiele molestować przez gospodarza, ale już sam do kielicha się rwał, i szukał w starym węgrzynie otuchy i pocieszenia w tej serdecznej melancholji. Nie chciał się dać poznać ze swoim smutkiem, i owszem przeciwnie udawał ochotę, ale przy gęstych kieliszkach udawanie (to nieborakiem) na nowo przeszło w taką desperacką wesołość i swawolę, że pono nigdy go nikt nie widział w takiej szalonej postaci. Tryskał żarcikami i przeróżne śmieszne koncepty jakby zręczne, mówił wiersze, jeden ucieszniejszy niż drugi, opowiadał zabawne fraszki i anegdotki, chwalił zawsze z przystojnością wielką, prawił komplementy i [illegible], śpiewał to czarne to hulackie piosnki — a nagle jakby fajerwerk zgasł, wstrząsł się, szybko przypasał i zawołał: [— A teraz jadę!.. [Trzeba było żegnać cześnika i kompanię, a panna Marybella [illegible] i tak przeciągle i takie przenikliwe (jej jedyny kontrafekt) chciał w oku uważać i z oka [illegible] do duszy... Panna Marybella oblała się szkarłatem ale pierwszy raz ze śmiałością przedtem nieprzystępną wytrzymała wejrzenie Petyhorca i dopiero po chwili, jakby się ocknęła, spuściła [illegible] czarne oczy, a towarzysze się gracko, że [illegible]... [— Już muszę jechać! — zawołał pośpiesznie Petyhorzec, jakby sam sobie rozkazywał i wyszedł na ganek z cześnikiem, przy którym już znać było, że więcej niż zwykle było wlewanych kieliszków, bo w niezwykłej był wesołości i fantazyi. [Koń, który [illegible] trzymał był Petyhorzec, musiał go pilnie, ale [illegible] całej kompanii, aby z kieliszkami dała konfuzję nieprzyjaciołom. Wyszli tedy wszyscy na ganek, jak kto stał, bo choć to zima było, dzień był słoneczny i ciepły — a cześnik z [illegible] szklanym puharem na czele. Przed gankiem stała już czapka kozacka, na której (pan podczaszy [illegible]) chusta; a on też jeden w tej wdzięcznej sympatyi dla Petyhorca i w tem szumnem żegnaniu widział nie brat.

[Petyhorzec wspiął się lekko i zgrabnie kawalerskim gestem na konia; a jak że był jako i dzielny jeździec, więc on koniowi a nie koń jemu honor czynił; a tak [illegible] ta [illegible] czapka kozacka, czyje było mimo, wypełniała i tak szlachetnie prawiedła. [— Stój! Stój! Strzemiennego! — zawołał pan cześnik — Nie puścimy Waćpana bez (Na odjazd!) wiwata!) Strzemiennego! [Pety-

)(c.d.n.

korzec pić nie chciał; czuł dobrze, że przy tych wiwatów na trzy głytki mieć, a w domu gośniła zo-
stać nie mógł, chociaż pewnie był gotów z serdeczną ochotą, gdyby w fortunniejszych czasach i w mniej krytycznych okkurencyach
zawitał był pod tę strzechę. — Jak Waszmość Pana uraczę — nawiązał się — tak nie-
mogę, mości szewczyku! — Strzemiennego! Na [illegible]! — wołał p. Ostyński chwytając za
cugle konia — Najpierwszy Waszmość? — Do tego sztuka — mówi Petyhorzec — a jak znam
gotowyś po drodze zajść na pole, co będzie? — Nie było ci nie za pierwszym razem, nie zgodzić
ci rôzy i ... ! Cała kompania stała na ganku i patrzyła ze śmiechem, jak już dobrze
podochocony szewc certował się z towarzyszem. Krzysztof powiódł okiem po całym ganku, jakby
o sukkurs szukał przeciw tej wehementnej szewczyka, i oko jego odkryło w tyle za gośćmi, na progu,
według praw [illegible]. Jakby na jakiś [illegible] koncept zaświtał nagle w głowie, zawrócił się
w siodle i szepce: — Tandem dobrze, mości szewczyku, ale pod kapitalną kondycyą! — Ow-
da wszelkie kondycye, ale wypić Waszmość musisz! — woła szewczyk. — Wypiję, ale na pawl
Hrocławski — zawoła Petyhorzec — tylko wtedy, jeśli... jeśli panna Marysiella przepije do mnie strze-
miennego! — Marysiu! — zawołał rozochocony p. Ostyński — przepij do pana Krzysztofa! Wszyscy
zwrócili się do panny Marysielli, a szewczykówna z rozkosznym rumieńcem na licach,
ale śmiało i wesoło wysunęła się naprzód, wzięła od ojca ów roztruchan szklenicę i pod-
niósłszy do góry umoczyła w nim usta. Potem cała spłoniona ale z wdzięcznym uśmiechem podała
kielich Petyhorcowi. Krzysztof oczy się zapaliły żywym płomieniem, podniósł się w siodle, zdjął kołpaczek z głowy,
odebrał z rąk szewczykówny kielich i wychylił go jednym potężnym haustem do dna. — Wiwat
Litwa! Wiwat grek petyhorski! — zawołała cała kompania na ganku. Petyhorzec
skłonił się i nie nie mówiąc wydobył prawą ręką z olstra pistolet, ... ustawił próżny
puchar na słupie kaganka, który ani ... mógł, jakby rozpatrzył się ... — i te
wymierzywszy dał ognia do puchara. Szkło prysnęło w drobne kawałki, a szczerba ... -
żarła ... zbladła petarda. — Aby nikt już ust nie tknął się już
pucharu, z którego piła do mnie dziś panna szewczykówna! — Podobał się ten koncept kawalerski kompanii bardzo — a Krzy-
sztof w tejże chwili zakręcił koniem i przystępując ... do szewczyka, rzucił kołpak na
ziemię, ściągnął ... starego i w tablicę rzec się mówi: — Mości dobrodzieju szewczyku,
panie a panie mój; wielce szanowny i serca miły! Nie jestem praktykiem filozofii
[illegible] ani ... szewczyka nie ... sobie ze górnolotny język mojego żołnierskiego (ani) Boecyusz (ani) Lukrecyusz
(tego demonstrować mądremi dictami) (bo ani Platon, ani Katon, ani ... nie wezmą tego)
języka. Ale nie potrzeba ... z starych filozofów, że raz tylko człek się
rodzi i raz tylko umiera! Tymczasem oto między tu Waszmości dobrodzieju przed sobą stoi ... i wiele ...

stoi przed Tobą Mości Książę szczątek pokorny, który już jakoby dwa razy się urodził, i raz już umarł był, a drugi raz niezawodnie umrze. Tym człowiekiem ja jestem, najniższy podnóżek Waszmości, Kiebel wiernego Księstwa Kurlandii, towarzysz (petyhorskiej sześciokonnej) chorągwi Jej Mości Królewicza Xawerego! Ałkiej z szczególnej łaskawości i wielkiej szlachetnej kommizeracyi Waszmości Pana mego mi obudziłem się do życia jako w starej Litwie [illegible], z chwili kiedy Birwasze śpiewał mi mówił De profundis a ... mojej bestyi, dziwnie zebrani na żałobne zgromadzenie tego świata. Co tedy darował ojców moim; jeden prawie rodził mnie po krwi, który na Litwie siedzi, drugi po [illegible] [illegible] i [illegible], o tem teraz z uwagi [illegible] affektu wdzięcznej veneracyi [illegible] [illegible] i całuję! Tu Petyhorzec ścisnął kolana p. Ostyńskiego i tak mówił dalej: — A kiedy tak [illegible] szczęśliwość przygodą, już mi Waszmość [illegible] drugim ojcem się stałeś, tedy niniejszy to ojcostwo (najlepszym zdarzeniem się w tytule, i zaprzedaje się [illegible], a mnie aż do ostatniego tchnienia duszy do tego domu i do serca Waszmości przykuta, a tak mnie za syna swego miej i jako życia Twojemu dziękuj! Nikt się takiej deklaracyi nie spodziewał i wszystkim też nowy zebrany jest już wkrótce, [illegible], ponieważ serca się na szczęście: — Przyjmuję (przyjmij Waszmość) i dziękuję! Pan Ostyński [illegible] także [illegible] też przyjaciel, a że długo był [illegible] trunkiem, tedy bez żadnego wahania obu ramionami objął Petyhorca i ścisnął, a szybko go ucałował i rzekł: — Przyjmuję, przyjmuję! Petyhorzec porwał się na równe nogi, przyskoczył ku pannie Marysieńce i klękając zawołał: — Nic na tak gniewnego (na świecie) punktu jak serce, moja mościpanno szczęśliwa, i niema takiej (szczęśliwej) imprezy, której by się nie wyszło — a coż dopiero, kiedy nie takie [illegible] słowo, jak panna wieniec dobrodziejstwa, dzięki wdzięczne alimentu! Tedy ono na kształt wielki się zżyło, w ogień idzie, po swoje automatycznie idzie, pod niego samo się kładzie, i wszystko w (tajemnej wielkiej zasłoce) trybunału ma mniej przeżywając, chociaż wie, że ono tylko (sentencya może być surowa, a trzeba jej niemniej pokornie:—) [illegible] albo życie, [illegible] szczęśliwość albo ostatnią gorzkości desperacyi! Otóż mnie Waszmość uczyniłeś z tej większej i radosnej automatycznie — mojej marnej w ręce i łaskę, szczęście moje i potępienie — czekam strumieniem [illegible], a innego procesu nie mam, oprócz najczulszych sentymentów i [illegible] najświętszego [illegible] serca mego. Niechaj panna bowiem, niech się zgodzi (tobie sama, moja więc, czy za wolą ojca swe Waszmość, i czy przyjmujesz mnie za wiernego sługę i dozgonnego towarzysza swego? Wszyscy obrócili się ku

panna Marybella z admiracyą takiej osobliwej nazwy i ukłoniwszy się nizko, jak się też zgrabniej [illegible] z takiej [illegible] [illegible] [illegible]. Ale panna Marybella chcąc widać w oczach tych na miejscach żadnej niedorzeczności lub [illegible] pozwolić po sobie widzieć, a chcąc [illegible] determinacyą swoją przed [illegible] już zgrabnym [illegible], podała rękę Petyhorowi i zgięła się zgrabnym, nowszym głosem: — Za zdrowie pana ojca mego i pana Waszmości, jeśli nie [illegible], przyjmuję! — Wiwat gospodarz! Wiwat młoda para! — zawołała cała kompania, jednego pana Orestę wyjąwszy, który się [illegible] od gniewu i zazdrości, a na twarzy coś mrugał niegrzecznie. — A teraz [illegible]! — zawołał z [illegible] na fantazyę Krzyszpin i przyskoczył do rączki panny Marybelli i podając jej [illegible] [illegible] ramię z [illegible] do komnat zawiódł. — Za jego przykładem przeszli wszyscy, a kiedy zaszło na już swego nie już [illegible] [illegible] [illegible] tak niespodziewanie na [illegible] zdeklarował, pan Oresta nie mógł już wytrzymać i chwytając za ramię p. Ostrzyńskiego tak mówi do niego: — Jak to! I Waszmość pozwalasz na to, i Waszmość patrzysz na to spokojnie! — Panie, cześnik, któremu już także wiele się opacznie wydała ta scena, tak że w końcu ostygnąwszy patrzał na wszystko, jak na jakie theatrum [illegible], rzecze z niewymownym śmiechem: — Toż to żart, kochany podczaszy dobrodzieju, żart zwyczajny, a widzi się bardzo, to cała kompania zabawi. — Tymczasem w tej chwili [illegible] w stronę, w której byli Petyhorzec i Marybella, i widzi, jak się niewinnie teraz już do panny przysiadł, jak rączkę zaletnie ściskał i coś słodkiego bardzo szeptał, a panna tylko się rumieni i ślicznie uśmiecha, a spojrzeniem z pod [illegible] rzuca tak ogniem na zgrabnego Krzyszpina strzeli, że aż wystąpię ze skóry! — Ależ gwiaździe — woła podczaszy — on to na serjo bierze, dalibóg na serjo! — Imaginacya! — rzecze na to p. Ostrzyński ale [illegible] [illegible], że Krzyszpin tak mówi zalotnie, jakby rzetelnie byli już po słowie. — Zdjęty po [illegible] i strachem [illegible], to niewinniejszy [illegible] gładko i delikatnie, bez niczyjej obrazy, przyjść końcu temu żartowi, który go tak przed chwilą jeszcze cieszył. Zbliża się tedy gwałtem Petyhorowi i córce i przykładnym komplementem mówi: — Nie ładnie to przecie, mówi, towarzysze, jeśli Waszmość niczyim być ze mną... [illegible] się Waszmość na wszystko, że musisz zaraz jechać, że [illegible] na Litwę czekać nie może, a tymczasem [illegible] przeszła się porada, że nie gotowego nie było... — Jak Waszmość [illegible] i [illegible] — rzecze na to Krzyszpin — tak mi w drogę czas było, i chwili bawić już nie mogłem. Ale gdy taki niespodziewany i nad wyrażenie grzeczny zaszedł impedyment, tedy mi się [illegible] wybaczy, a jak [illegible] drugi będzie, to mi panna Marybella w jutrzejszej przejdzie podróży... — A o jakim to impedymencie Waszmość mówisz? — zapytał p. Ostrzyński trochę niepewnym głosem. — O tym, co właśnie zaszedł przed chwilą za ostatnią

Taką i wolę twoją, mości cześniku, z panną Marybellą. — To... to... — jąkał się cześnik, srodze zakłopotany — to Waćpan to na serjo bierze? — Jakto, czy na serjo? — zawołał żywo Ostychowicz — a jakiż to opinię o mnie masz, mości cześniku, abym ja takich żartów sobie pozwalał i taki solenny moment życia mego miał sobie za bagatelkę! — A ja, panie towarzyszu — mówi cześnik zupełnie już trzeźwy — ja właśnie to wszystko za żart biorę... — Jakto? — żywo zawołał Potyhorzec — i moje słowo?... — I moje słowo! Chyba Waćpan i tę pozycję ten żart [illegible]; a to Waćpanu przyznam, że przeciw wszelkiej regule, bo żart miał być krótki, kiedy się przedłużył... Marysiu — dziecko zwróciła się poważnie na córkę — i ty przyznaj to panu Krzyszpinowi! Potyhorzec popatrzył bystro i pociągle na cześnikównę; panna pobladła nagle, spuściła oczy i nic nie rzekła. — Tedy mieć to Waćpan słyszysz z ust Marybelli, jeśli ci tego trzeba... Marysiu! — mówi starzy [illegible] — Panna Marybella ciągle milczała. — Panno cześnikówno — odezwał się teraz do niej Potyhorzec — i ja pokornie proszę o odpowiedź, czy to nie żart było czy — serjo? Panna Marybella podniosła, spojrzawszy z determinacją na ojca i odpowiedziała głośno: — Na serjo. Zrobiła się cisza w pokoju, żeby mało [illegible], a pan Ostyński stał chwilę jakby skamieniały; [illegible] słowa jednego wyrzec nie mógł. — Na serjo! Na serjo! — zawołał nareszcie — Nauczę ja cię, mopanno, myśleć o takich rzeczach na serjo! Już mi natychmiast do swego pokoju i gotuj sobie węzełek, jutro zawiozę waćpannę do panien Benedyktynek do Lwowa, a tobie ci tam pobożnie rekolekcye, że aspanna nie wybaczysz się niebodze, jak to czasem żarty nie płacą się karzą! A Waćpan precz z mego domu! — To i pojadę — odpowiedziała na to przez łzy determinowana panna Marybella — pojadę i chwili nie czekam, bo wolę nawet oblóczyny aniżeli ślub z kim innym a nie z p. Krzyszpinem, któremu dałam słowo! Ale tu już koniec był sił i odwagi biednej panienki; ledwie słów tych domówiła, zaniosła się wielkim płaczem i z głośnym szlochaniem wybiegła z pokoju. Staremu [illegible] się zrobiło, i na taką desperacyę córki nie był przygotowany; zmiękł od razu, [illegible] dziewczęta swoją całą [illegible]. — Marysiu! Marysiu! — zawołał za nią łagodniejszym głosem i gdyby go wtedy nie było, byłby za nią pobiegł do izdebki. — Mości cześniku dobrodzieju! — zawołał teraz Krzyszpin żywo i z szczególną — Nikt z jednego Krzyszpina nie stroił sobie jeszcze żartów, i Waszmość nie będziesz! Nie [illegible] na szyderstwo moich affektów czystych i serdecznych, a Waćpan nie łatwiej ci się [illegible], jeśli [illegible] z sentymentów i słowa własnego dziecka! A choćby ja tu między wami [illegible] przez jakiś czas sam jeden, i moje prawa poszukam i przyjaciół sobie znajdę! To rzekłszy z marsem i niezmiernie determinowany Krzyszpin z impetem z izby wybiegł i do [illegible] przypasał, aby burkę i szablicę wziąć, [illegible] przed chwilą po owej [illegible] dolała,

nej przeciwko był sobie. Toż jakaż dziwna rzecz; przed momentem, kiedy deklaracyę ojca i panny słyszał, sam tego za prawą impresyę nie brał a wziął tylko za obłąkanym głowem młodej fantazyi i mało przebranej swawoli, ale kiedy rzecz tak niespodzianie się zmieniła, że panna na prawdę obligować się deklaruje, i statecznie trwała przy swoim, tedy ta odwaga jej stateczność (tak zdumiewającej mocy nań czyniły impresyę, że co sam za żart miał, teraz za niezmierną regalicyę, która, a co większa rzecz jest, za widoczną wolę Bożą poczytał. A kiedy tak pan Bóg chce, kiedy tak uzuchwalona chce i on sam rad takiemu losowi — czemu p. Ostyński chciałby nie mieć, a jeśli nie chce, czemu się cofa nie ma przed zrządzeniem losu i przed swą prawą sentymentu? Czasem już szlachcic — myślał sobie Stry-szwi — i to lepszy od p. Ostyńskiego, a choć on bogatszy, tedy już nie o bogactwo jego ale o pannę prosi, a na Litwie jeszcze żaden z Korzeniów nie zginął. I przypomniało mu się, że w ziemi go-styńskiej podobny właśnie zdarzył się wypadek, jako pewien pan Sołtohub, pod regimentem dragonii li-tewskiej oficer, u domu pana Szymonowskiego, gdzie na eksekucyi przebywał, tak samo deklaracyę panny otrzymał i tak samo jowse przyjęty, potem na zawsze to rzekł, a teraz i roztacza, przeprosił i przybył, zaraz i zaraz w ostatku panna nawet zgodziła, że i ojciec się zgodził i panna go z nim na kobierzec ślubny poszła. Może tamten, pewnie i ja. Zwłaszcza! [ Tymczasem pan Ostyński z wielką konsternacyą padł na krzesło i bezradny siedział nie nie mówiąc. Ciężki to dla niego był casus i trudna alternatywa; (ciało zgiął, tonącego strach i trwoga i śmierci i trwogą, rób co chcesz, a tak zacięty na córki ktoś gadać albo lepiej z córką mówić się będzie. A trafna to, jeśli w którym z kompanii, a już najbardziej kobiety, które zawsze za młodymi i po rodzinnej stronie stawać radzi, przyszła sama perswadować i różne refleksye czynić. [ — A niebożę Węgrowski tak zacięty, a lituj się pa-nienki swojej! Tak już mu było sądzono, i tego Bóg sam chciał, bo patrzaj ani tak oryginal-nego i osobliwego bez jego palca zdarzyć się mogło! [ — Towarzysz słuszny szlachcic, szlach-cic bardzo przystojny — mówił drugi — z dobrego domu, z uczciwej rodziny... To i czemu przed tem ściągać, aby wszystko na głowę i Węgrowski i ojca jego i zakały — czy nie lepiej poczekać a przez [illegible] zmienić się, jako rzeczy stoją? Potrzeba się, że Ostyński ledwo to sam uważa, a potrzeba się, że stateczny szlachcic, to ty go trzymaj, aby nie uciekł, bo i jak Węgrowski córce zechce[illegible] siedzieć, kiedy go kocha? [ Czy kto słuchał a im więcej słuchał, tym bardziej myślał, tem skorszy się czuł do akceptowania tego, co się stało. Uważał to dobrze pan podsędek Oresta a wiedząc że wszystkie periculum in morą umyślił staremu na odwrót iść a sobie na rezerwę, bo straszne się bał, aby mu ten pierwszy moment Ostyńskiego teraz zachwiania ojca nie zepsuł pewnej z podwoda.

Umyślił tedy uderzyć w najsłabszą stronę cześnika, wzywać w nim patryotyczny wstręt do Kryszpina, a widział niewątpliwie że stary w takich rzeczach bywał zawzięty i mocno passyonowany. Idzie tedy pan Oresta od cześnika i bierze pod ramię Porwańskiego na stronę. — Przestrzegałem Waszmości — mówi — ale daremnie; oto jakie z tego są konsekwencye! Ale bądź kontent, mości cześniku, że i nie takimi przyszło, i kiedy nie jest z dawna cię rzecz, tedy gotów, aby go wyżenić z sfrorowano ze brame. Nie chciałem ci tego mówić, ale teraz, kiedy ten przychodzi nie takie niesłychane zuchwalstwo się waży, to ci powiem. To szelma jest otwarty i infamis, wstręt mówią, że Konfident (Branickiego i Kruszerów). Konfident... Branickiego... Kruszatorów... Konfident! [Cześnik zachwiał się na nogach i pobladł cały. [— Powiedz! — wykrzyknął z mocą trudem i wypatrzył się przestraszonym wzrokiem na podstolica. [— I to asekuruję Waszmości, że Konfident i delator niewątpliwie — ciągnął pan podstolic, mocno ukontentowany, że tak bierze jak chciał zbliża się — Wszakże to Waszmości powiadam, bo tacy takie już zwyczaj nie potrzebujesz mostów, że lubię się trzyma z najczystszym patryotycznym affektem; a zresztą to powiadam, że tego Kryszpina, kiedy nie dawno jeszcze w tem wypadku, widziałem na własne oczy w Sztanowie, w gościnnej kwaterze pana Ksawerego Branickiego i to w wielkiej z rzekomo konfidencyi; nie inaczej i bezustannie Branicki przy boku go swoim trzymał. A kiedy wreszcie, natknąłem się na [illegible] generała imperatorowej rossyjskiej Kreczetnikowa, którego faworyty, jak Waszmości wiadomo, już w Żółkwi stoją — i co widzę, mój pan Petyhorzec z Kryszpina jak w pani matki, taki wój i taki przyjaciel ze zaufanym! [Gdyby pan cześnik nie trzymał się był ramienia Oresty, byłby runął jak długi od nagłego przestrachu. A tak zatoczył się tylko, i cały jak na wiosnę drżąc się nie zgłowie. Oresta nie skutku nie mógł zwrócić; skutek zresztą był już dość. Pan Ortyński szepnął tylko: [— Poganin! Jesteśmy zgubieni! — i wyraczywszy się nagle z rąk podstolica wybiegł z izby. [Strach nie wielkie oczy, jak mówią, a najbardziej tylko, że wszystko widzi, ale w [illegible] więcej widzi niż najbystrzejszy na myśl, kiedy bezpieczny. Musiało tedy w owym dniu p. Ortyński przemedytować godzinę całą, aby to obszerno wyłuszczenie, co mu teraz drogi, skoro całą, jakby chciał, nie obiło się nie będzie głosu. Jeśli Petyhorzec na prawdę nie jest z konfederackiej partyi, ale wysłaniec i adherent rossyjskiej interwencyi, tedy bywaj zdrów, panie cześniku! Kryszpin nie potrzebuje być konieczne z ogniem, a prędzej zgubi mnie i zniweczy, skoro wysłał i z generałem Kreczetnikowem w komitywie. Stanie się zdrajca z nakaźnikiem wszystkich uniwersałów i kontrmanifestów, manifestów i remanifestów, deklaracyj i protestów, które cześnik z gorącości spisywał fulminującem piórem w ogromnym swoim regestrze, a co gorsza grube sobie pozwolił... [illegible] kupić z dwóch setny na króla i imperatorową. A teraz obrażony srodze, zapalony i zemsty żądny w ręku mocy ma, nie zguba żadna, zniszczy szlachcica z kretesem! A co widzieć, jak co mnie za to

szeka. Najmniejszy (jako wygrażająca mgła) jako rzeka straszliwa, gwałtowna, nieobliczona, zatłumiona, zgrzyta, a straszny ogniowy dom i fortunę! I to najmniejsza jeszcze rzecz — gorsze będzie! Na fioletowe się targają, karmazyny trzęsą, biskupów urzędy, hetmanów przyjeżdżają, senatorów szło w Sybir, tedy jakie ceremonie robić będą z mi[r]zernym szlachetką, co gdzieś obscurus na prowincji rzadko fomentuje do rebellji z prezydentem się zabawić, na króla i imperatorową satyry [illegible] [illegible] i kopiami w świat puszcza! Kryminał laesae Majestatis, i to dwa kryminały i dwóch majestatów obraza! Wszystkie te myśli jak przeszyły mu ulotną (a jakby wlatywały i wylatywały uszami, tak mu tych uszach dzwoniło, jakby ktoś (mu) świecą) by w głowie zawirowało jedna perspektywa straszniejsza była od drugiej. Widział już dworek swój otoczony przez kozaków (gen. Krasnolitkowa) ..., pana Bremickiego, spalony i z gruntu zniszczony, córkę wydaną na ..., siebie rozbitego lub w drodze do Kaługi, wioski pokonfiskowane, dobra (kuty) [illegible] jego z dekretami rozdrapane — horrendum! Trzeba się ratować, ratować — ale jak? Chwilkę stał niezdolny ale wnet poskoczył szybko do swojej Kancelarji, otworzył trzęsącą się dłonią sekretarz, wyciągnął ów drugi foliał zapisany, pobiegł jakby gnany przez kogoś do świetlicy (w której nikogo nie było), gdzie ogromny ogień palił się w kominie, ujął kręgi obiema od góry i buch! jęzorem rzucił w płomienie... Wolałby był (prawą ramię) własne rzucić w tym żarze, jak ów Rzymianin mężny, niżeli niszczyć całe dzieło, zywota, owoc konceptu swoich świadectw wszystkich indygnacji patriotycznych, przyszłej splendor imienia, który miał go też jak zwycięzca pokazywać na grobie szlacheckim... Wstrząsnął się głęboko p. Ortyński ale bał się nawet spojrzeć na płomienie, aby nie przypomnieć sobie swojej zagłady i wrócił blady i wytrzeszczony do komnaty, gdzie już do odjazdu się zbierała szlachta tylko gospodarze, aby się pożegnać. Ale cześnik nie chciał się zbierać, jakby mu straszno było zostać w domu samemu, prosił, aby się także zostawić ... jeszcze choćby godzinę, a sam padł znowu na krzesło, otrzeźwiony i blady, jakby z mleczarni wyciągnięty był. Naraz jakby mu jakaś nadzwyczajna myśl przyszła, cześnik porwał się na równe nogi i zawołał na wystraszonych: — Przynieść tu zaraz Marysię, przynieść Marysię! — pobiegł do alkierza, gdzie się spodziewał zastać jeszcze Krzysztofa, ale już u drzwi jadalni go dopadł, kiedy Petyhorzec już ciągnął ręką na klamkę. — Stój, zatrzymaj się Waćpan! — zawołał cześnik i z wielkim impetem pociągnął obcesowo przez próg Petyhorca. Krzysztof, myśląc, że szlachcic na humor lub zdrowie jego godzi, wyrwał się (siłą całą) i szabli już macał, ale cześnik trzymał go jakby w żelaznych kleszczach i wołał: — Chodźże Waćpan ze mną! Chodźże Waćpan ze mną!

— Dobrze mam iść i gdzie Waćpanowi chcesz ...! — Chodźże Waćpan ze mną! Chodź ze mną do gościnnego pokoju, mam Waćpanu coś powiedzieć! Petyhorzec dał się wieść za rękę i tak wpadli obaj między gości. Była już w pokoju i panna Marysia, jeszcze całe w wielkim wzruszeniu i z czerwonymi (od płaczu) oczkami. Pan Ortyński ciągnąc jeszcze rękę Petyhorca zbliżył się

= 7

córki a podjąwszy drugą rękę przyciągnął do siebie. Potem popatrzywszy raz jeszcze na Petyhorca i Marcybellę trochę załzawionym okiem, pojaśniawszy się jeszcze z oka przez moment, nagłym gestem położył ręce obojga i zawołał: — Niech was tedy Bóg błogosławi! Oboje młodzi jak stali w wielkim zdumieniu, tak tedy padli plackiem do nóg cześnikowi, ściskając i całując mu kolana, a wszyscy przytomni nuż cisnąć się do starego i do młodych, nuż winszować, cieszyć się, śmiać i dziwić niespodzianej rezolucyi cześnika. Jeden tylko pan Omsta stał w kącie pod ścianą jak przybity, i patrzył długimi oczyma, jakby śnił, a tak mu dobrze było, jak na pogrzebie, i pewnie radby był gdzieś o sto mil być daleko od cześnika, od cześnikówny, a już najbardziej od Kryszpina. Ledwie Petyhorzec ochłonął z radości i zdziwienia, ledwie gorący całunek wycisnął na białej rączce cześnikównej, kiedy go chwyta znowu z impetem p. Ostyński i mówi: — Chodź Waćpan ze mną, muszę pogadać na osobności! Zawlókł Kryszpina do jadalnej izby, a sam bez tchu go przywiódłszy, zielonym wzrokiem w oczy mu spojrzał, ręce załamał, westchnął z ciężką aprehenzyą i rzecze: — Człowieku, panie bracie, zięciu mój, nie gub mnie! Petyhorzec spojrzał na cześnika z lękiem, bo zdało mu się, że stary niechybnie zaczyna w gorączce. — Ależ mości cześniku! — mówi ściskając mu ręce. — Masz już Marcybellę, weźmiesz wszystko po mnie, kiedy umrę, a niedługo czekać będziesz!... — tu cześnik żałośnie rzucił spojrzenie na płomienie w kominie, w których już ani śladu nie było jego księgi — Za syna cię uważam, nie zgub ojca! — Ale na rany Boskie, cześniku!... — zamieszał się Petyhorzec i chce odejść, aby kogo przywołać do p. Ostyńskiego. — Ja z gruntu serca veneruję Króla Jego Mości, a dla Najjaśniejszej Aljantki także z wielkim jestem respektem! Daj parol kawalerski! — Daję, daję, cześniku kochany, ale na co, ale po co?... Jak Waszmości szanuję i kocham, nic z tego nie rozumiem! — Daj parol — mówi cześnik — że ani pan Karol Branicki, ani generał Kreczetnikow, ani Król Jegomość ani Najjaśniejsza Gwarantka o niczem się nie dowie! Daj parol, zapomnij i rzuć obie kopie do komina! Ja Waćpanu przebaczam, żeś mi zdradził i córkę ci daję, choć wielce mnie pokrzywdził!... — Ja Waszmości zdradziłem?! — zawołał Petyhorzec — na miłość Boską, niech się Mości cześniku lepiej wytłumaczy, bo nic nie rozumiem! — Wiesz Waćpan — odpowiada żałośnie p. Ostyński — tak bez obrazy... uważałem się za konfidenta, za adwersarza Króla Jegomości i Najj. Aliantki, a jesteś zaciętym wrogiem i w wielkiej konfidencyi z p. generałem Kreczetnikowem!... — Kto to powiedział! — zawołał tedy w pasyi Petyhorzec, domacawszy się niejakiej sentencyi. — Pan podczaszy Omsta mnie to powiedział, szczególnie wydział się i co Satanowie u pana Branickiego i p. z tamtego grona p. generała Kreczetnikowa... — Jeśli to powiedział — zawołał z furyą Petyhorzec — to jest infamis i mam miast udzielać i dyspensować, kiedy nic chce, abym go na ucho

plazem ubić, gadzino! [ To mówiąc Krzyszpin rzucał się z cynikiem i do gościnnego pokoju biegł, ale go p. Ortyński gestem zatrzymał, czego przecie nie było potrzeba, bo pan Ornsta, jakby przeczuł, na co się zaniosło, chyłkiem, niespodziewanie i niepostrzeżony, wskoczył do swego kąta i ku domowi się umykał w niemałym strachu i niemniejszej konfuzyi... [— Wiesz Waćpan, mówi towarzysz, nie rozbijesz, wróg skonfederowanych stanów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej? ) [— Jak panna Marybelle kocham! — zawołał Petyhorzec a pomno w tej chwili solennejszego zaklęcia nie byłby znalazł — A że prawdę święta mówię, panie cynicku, tedy ci jeszcze i przeczytam to pismo, jeśli nie wierzysz słowom moim. [ Krzyszpin dobył z zanadrza pismo i przez pana Ortyńskiego... Cynik rozwinął i przeczytał z wielkim ukontentowaniem. Był to ordynans dany Krzyszpinowi w misyi bardzo ważnej i sekretnej przez marszałka konfederacyi krakowskiej, stamtąd z kontrasygnaturą generalnego marszałka litewskiego p. Brzostowskiego! rozjezdnego pana Dominika Medeksza. (Ordynans ten wielkie oddawał pochwały gorliwości patriotycznej Krzyszpina i wspominał o gracyach i nagrodach, jakie między tem ofiarnikowi ojczyzny przestem sprawie ojczyźnianej nie żałującemu ani zdrowia ani fortuny, i za nic sobie ważącemu hazard starannego życia.

[ Pan cynik pismo złożył, oddał i uścisnął Petyhorca w ramiona po ojcowsku serdecznie. Odetchnął także, bo wszystkie brzemiona z serca mu spadły; i ojciec i statysta pocieszył się tak szczęśliwą odmianą konstellacyi, wszystkiemu tak niefortunnej i niebezpiecznej. Nie dawał ciski rapierów, opresyi wolności szlacheckiej, przyjacielowi Rossyi, ale towarzyszowi barskiego związku, adherentowi pana stolnika litewskiego i jego aliantów. Ale spotykał tak niespodziany i radosny zupełny był przecie przyczyną i zwykłej melancholii. Przypomniał się szlachcicowi jego folwark, rzucony w pierwszej chwili przestrachu do komina, a tak niezgorszy koniec tego, co uważał za splendor swego imienia i świadectwo swoich talentów i cnót republikańskich, przejął go wielkim strapieniem i żałością. Wlazł się do komina, czy chwil kartyj jeszcze nie uratować ogień okrutny, i łza się zakręciła w oku szlachcicowi, bo oglądał już tylko szary popiół, w którym drgały małe iskierki...

[— Wszystko rozumiesz, co mówię — rzecze cześnik z nowej afflikcyi do Petyhorca — ale tego, com chciał zostawić w sercu rodzinie moim wnukom, nomen meum jako Bóg łaskawy obdarzył, w co włożyłem całą gorliwość zelosi civis, cały tumult sentymentów patriotycznych, uzbrojonych niezgorszą wymową i uzupełnionych złych obywateli, całe rozmyślanie moje nad ojczyzną Najjaśn. Rzeczypospolitej, coś czego całą duszę mojej i cały zacny ambit mój szlachecki — to już zgniło i jeno zostały zgorzałe gorzkie popioły!... Spalił mój rapt aliasz!... [— Jakto! Waćpan jegomość to sam uczynił raptularz swojemu! — zawołał Petyhorzec. — Victoria! Raptularz Waszmości jako fenix odrodzony z ognistej szpary, cały i bez najmniejszego szwanku, tylko okładka wkrótce okopciła się trochę od płomieni! Kiedy przedtem z alkierza pieca ten piekielny, aby opatrzyć dom ten, z którego uciekał scandalosum ku kozom, ja wzrok mój czystym trafunkiem padł na ogień w kominie i ujrzałem w nim raptularz Waszmości. Musiał być wrzucony dopiero przed chwilą, bo zaledwie, że płomienie polizały, kiedy go wydobyłem z ognia!

26

[— Synu mój! — zawołał pan cześnik z niespisaną radością, a nie widział, kogo ma pierwej tulić do serca, czy pana Maryśkę [?], który niespodzianie i ciekawie, co też to za konferencya się odbywa, nadbiegł jak na to do pokoju [?]. Petyhorca, czy swój folwark [?] [illegible] [Ową też się skończyła ta osobliwsza przygoda Jellimena [?] Rafała Kryszpina, swatego towarzysza przeszłego znaku — a na tem koniec i mojej powieści. Za wiele już gadał, kto wszystko powiedział, a ja wszystko powiedziałem, com słyszał z ust samego Petyhorca. Chyba jeszcze wesele by opisać, ale nie byłem na weselu, bo już wtedy chorągiew moja daleko była od Lwowa. I Kryszpina już potem nigdy nie widziałem w życiu, tylko słyszałem o nim, że po weselu na włościach ruskich przy panie p. Ostyńskim [?] został, a po śmierci pana cześnika [illegible] z żoną na Litwę się przeniósł, że siła Kryszpinków i Kryszpiniątek ma, szczęśliwy jest i jako dzielny szlachcic, w całym powiecie szanowany, na własnej ziemi tam siedzi.

Koniec.

Władysław Łoziński